Rocznik II. Kraków 15-go kwietnia 1910. (Półrocze I-sze) Nr. 8.

ŚWIATŁO

wychodzi **dwa razy** w miesiącu, dnia 1 i 15-go.
jako **dodatek** do „Nowego Dzwonka“.

„Światła“ osobno prenumerować nie można — tylko **razem** z *Nowym Dzwonkiem.*

„Nowy Dzwonek“ razem z **„Światłem“** kosztuje na **rok: 5** koron, na **pół roku: 2** korony **50** hal. — Do NIEMIEC na rok: **6** marek, półrocznie: **3** marki. — Do AMERYKI na rok: **2** dolary, na pół roku **1** dolar.

ADRES: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Trzeźwość w Ameryce — a u nas.

W naszych czasach nieraz można słyszeć lub czytać, że ze strony Ameryki grozi Europie wielkie niebezpieczeństwo.

A jakież to niebezpieczeństwo? Czy może Amerykanie myślą o zawojowaniu Europy? Tak — i nie.

Jeżeliby się mówiło o zawojowaniu Europy pod względem politycznym, aby w Europie rządzili Amerykanie, to o tem teraz Amerykanie nie myślą.

W inny sposób zawojowują nas Amerykanie, mianowicie zasypują Europę różnymi wyrobami swego przemysłu, i to wyrobami lepszymi od naszych. Towary amerykańskie choć z tak daleka przychodzą są mało co droższe, nieraz nawet tańsze od europejskich.

A tryumf ten na polu przemysłowem zawdzięcza Ameryka swym robotnikom, a głównie trzeźwości, która pośród robotników amerykańskich zyskuje coraz więcej zwolenników.

Robotnik amerykański, nie używający napojów alkoholiczych, umie wyzyskać czas pracy i wykonać staran-

niej i prędzej powierzoną sobie pracę od robotnika pijącego trunki.

Wartość trzeźwości ocenili Amerykanie należycie, poznano się na niej, to też we wszystkich szkołach uczą tam obowiązkowo o szkodliwości napojów alkoholicznych.

Rząd, szkoła i społeczeństwo idą ręka w rękę w pracy nad wytępieniem pijaństwa. To też skutki tej pracy są wydatne i korzystne dla Ameryki. Coraz to więcej właścicieli fabryk, godząc robotników, stawiają im jako pierwszy warunek, aby wyrzekli się *wszelkich* napojów alkoholicznych nietylko podczas roboty, ale i poza obrębem fabryki.

W takich wypadkach wystarcza nietylko upicie się, ale samo nawet mierne picie trunków do zerwania umowy. Dyrekcye kolei przyjmują w służbę tylko takich urzędników i robotników, którzy nie używają żadnych trunków alkoholowych.

Nasz, i w ogóle europejski robotnik, nie przyjąłby po prostu miejsca, gdzieby od niego żądano, aby się wstrzymał od wszelkich napojów alkoholicznych nawet poza godzinami pracy. Amerykański zaś robotnik wie, że bez piwa i wódki będzie o wiele zdolniejszym do pracy, a prócz tego pieniądz mu zostanie.

Próbowano i w Europie żądać od robotników zupełnej wstrzemięźliwości od trunków, ale bezskutecznie. Daleko jeszcze europejskiemu robotnikowi do zrozumienia pożytków płynących ze wstrzemięźliwości od trunków, bo go mało o tem pouczano. W Ameryce wydano miliony na oświecenie robotników, dlatego tamtejszy robotnik nie upija się, lepiej pracuje i prędzej przychodzi do grosza.

I u nas nie będzie lepiej, aż zniknie zupełnie pijaństwo, bo ono także jest jedną z głównych przyczyn biedy naszego ludu i robotników.

MŁODY KRZYŻAK.

(Dokończenie)

(Opowieść z czasów Władysława Jagiełły, przez X. W. Załuskiego).

— Nie inaczej! Obadwaj ją znamy doskonale — mówił Otton z uśmiechem, ale z czułością patrząc w zburzoną, ropromienioną twarz młodzieńca. — Wdowa Linkowa jest twoją ciotką, a dobra i piękna Sońka rodzoną siostrą.

— Boże mój! Boże! Możesz to być? Stryju, stryju kochany! nie żartujecie wy ze mnie sobie? — wołał Henryk z radością i obawą w głosie. — Cóżby to było za szczęście! Ale czy to tylko prawda?

— Tak, dziecko drogie! to szczera prawda! — odezwał się w tej chwili głos ciotki Julianny, która wraz z Sońką, porozumiawszy się wprzód ze starym zakonnikiem, ukryta za krzewami, była świadkiem całej rozmowy, a teraz stanęła przed Henrykiem.

Młody rycerz objął kolana ciotki i pytał głosem drgającym radością, obawą i niepokojem:

— Więc to prawda, żeście wy ciotką? A Sońka, serdeczna Sońka, rodzoną siostrzyczką? Prawdaż to, że to moja rodzina, mój dom? Lecz skądże wy wiecie o tem? Skąd tak nagle dowiedzieliście się? Ja tego doprawdy nic a nic nie rozumiem!

— Uściskaj siostrę i siadaj, a zaraz wszystkiego się dowiesz i zrozumiesz — mówiła Linkowa ze łzami, ściskając i całując Henryka.

— Ciężko nam było z Sońką do dziś dotrwać i nic ci nie powiedzieć, ale bałyśmy się, aby ci wzruszenie nie zaszkodziło, jako osłabionemu chorobą. Ja już od pierwszego dnia waszego przybycia tę tajemnicę w sercu noszę. Ledwom ci w twarz spojrzała, poznałam: żeś syn mej siostry, tak bardzo jesteś podobny do twego ojca, starego Ginwiłły; nawet pomiędzy Sońką a tobą jest znaczne podobieństwo. Gdy mi jednak ojciec Otton powiedział obce nazwisko i mówił, żeś jego bratanek, nie wiedziałam zgoła, co myśleć o tem podobieństwie. Aż tu znowu, opatrując ci ranę, ujrzałem na twojej szyi relikwiarzyk, który dosta-

łam od mojego męża w darze, a ofiarowałam tobie na wiązanie. Są tam wykryte twoje i moje litery: «J. L. i A. G.», bo imię twoje jest Aleksander. Teraz już, zwłaszcza, gdy mi powiedział ojciec Otton, jak cię znaleziono i że tylko przybranym synem byłeś jego brata Augusta, byłam pewną, że się nie mylę, żeś młody Ginwiłła, syn mej siostry. Lecz pragnąc jesze więcej dowodów, wezwałem Jawnutę; ten ledwo spojrzał na ciebie, krzyknął z przestrachem, chwytając się za głowę:

— Na miłość Bożą! To rycerz Ginwiłło! To mój pan kochany!

— Jawnuta znał twojego ojca młodzieńcem, — mówiła dalej Julianna — więc sądził zrazu, że on ukazał się w młodzieńczej postaci. Dopiero, gdym mu powiedziała wszystko, co się przytrafiło, wtedy i on wyznał, o czem dotąd zamilczał, że gdy Krzyżacy napadli Ginwiłłki i broniącą się czeladź w pień wycinali, Jawnuta widział z jakiejś kryjówki, w którą się schronił, iż jeden ze starych sług, rodem z Prus, unosił małego panicza ku lasowi. Sługa ten był dobrze zasłużony w rodzinie mego ś. p. męża, który odstąpił go szwagrowi na zarządcę majątku, gdyż ojciec wasz często chadzał na wyprawy wojenne i w domu musiał mieć kogoś zaufanego. Stary zarządca był bardzo przywiązany do chłopięcia i snać zdołał unieść go z pożogi, choć sam ciężko ranny. Jawnuta cieszył się też, że starzec ocalał wraz z dzieckiem, gdy tymczasem, w kilka godzin po odejściu Krzyżaków, opuściwszy kryjówkę i biegnąc do Prus, tu do nas, aby państwu obwieścić co się stało, znalazł w lesie trupa zarządcy, który zdaje się z rany umarł. Ponieważ to już było na drugi dzień po napadzie, gdyż biedny starzec zdołał zajść daleko od domu i był już na pruskiej stronie, a chłopięcia przy trupie nie było, mniemał Jawnuta, że małego panicza dzikie zwierzęta rozszarpały w lesie. Pewnym będąc, że dziecko nie żyje, nie wspomniał nic Jawnuta Ginwiłłowi o tem uniesieniu chłopczyka z domu, nie chcąc rodzicom krwawić serca straszną niepewnością. Wszyscy więc myśleli, że Aleksander spłonął w domu razem z innymi pomordowanymi domownikami i sługami. Dopiero dziś zeznał Jawnuta, iż wie z pewnością, że panicz w domu nie został zamordowany;

poznał też doskonale starego Fryca, który brał udział w owym napadzie na Ginwiłki i był świadkiem, jak rycerz August, znalazłszy dziecko przy trupie starego człowieka, zabrał je z sobą. Z tego tedy, co ojciec Otton, Fryc i Jawnuta opowiadają, nie trudno poznać, że ty, drogi synu, jesteś istotnie Aleksandrem Ginwiłło, a relikwiarzyk, znaleziony na szyjce dziecka, twoje nadzwyczajne podobieństwo do ojca usuwają wszelkie wątpliwości.

Henryk, a raczej Aleksander, chciwie słuchał opowiadania Linkowej, a gdy skończyła, jął znowu całować jej ręce i ściskać Sońkę, która ze łzami w oczach, a uśmiechem na ustach tuliła się do odzyskanego tak niespodziewanie brata. Ten zaś był tak rozradowany i wzruszony, że nie mógł się na więcej słów zdobyć, tylko ciągle powtarzał:

— Jak ja się cieszę! Mój Boże! jak ja się cieszę!...

Aż zacny stary zakonnik, patrzący dotąd z rozrzewnieniem na radość i szczęście swojego ulubionego wychowańca i szlachetnych niewiast, rzekł nareszcie, klęcząc:

— A teraz podziękujmy wszyscy Panu Bogu, że po tylu latach rozłąki wrócił Henrykowi rodzinę, wam czcigodna pani, podporę starości, a Sońce kochającego brata.

. . . .

. . . .

W rok później mieszkał już Henryk Aleksander Ginwiłło wraz z siostrą i ciotką w rodzinnych Ginwiłach. Julianna Linkowa opuściła na zawsze bez żalu Prusy, bo piękny dworek pod lasem nie był ich własnością.

Krzyżacy w zawojowanych przez siebie ziemiach nie pozwalali nikomu mieć ani kawałka gruntu na własność. Wszyscy ziemianie byli tylko lennikami, których chciwe mnichy wyzyskiwały i zdzierały w straszny sposób. Siebie uczynili panami wszystkiej ziemi i rozporządzali nią wedle upodobania.

Młody Ginwiłło na podziękowanie Panu Bogu za odzyskanie rodziny i dziedzictwa wystawił obok rodzinnego zamku wspaniałą kaplicę, a ojca Ottona uprosił na kapelana.

Staruszek osiadł zrazu w jednym z klasztorów w Wilnie, a choć go tam odwiedzali często Henryk z siostrą i ciotką, tak jednak tęsknił za swoim wychowankiem, że z radością przeniósł się do Ginwiłek

Przybycie pobożnego zakonnika stało się prawdziwem dobrodziejstwem dla całej okolicy, zwłaszcza, że kapłanów nie było w tych stronach wielu. Ludność umiała po części po niemiecku, ponieważ Ginwiłłki nie były zbyt daleko od granicy, ale mimo to stary Krzyżak uczył się po litewsku wraz z Aleksandrem.

Niebawem też ojciec Otton stał się ulubieńcem wszystkich, a choć Litwini nienawidzili wogóle Krzyżaków, przecież cnotliwego zakonnika czcili i kochali gorąco, on zaś stał się prawdziwym ojcem całej ludności w okolicy. Zajmowała go dola i potrzeby wszystkich mieszkańców, interesował się sprawami Kościoła i kraju, dopytywał nawet o króla Jagiełłę, którego teraz szanować zaczął, tylko o Krzyżakach nigdy nie mówił i nic o nich słyszeć nie chciał, bo go bolał ich okropny upadek.

Wszystkie przewidywania i obawy zacnego starca, który swój zakon prawdziwie kochał, więc tem bardziej bolał i cierpiał, spełniły się.

Jak się wszyscy wyrzekli i odwrócili od Krzyżaków, najlepiej świadczy to, co o tych czasach napisał kronikarz i wielki przyjaciel zakonu. Żaląc się i ubolewając, tak pisze:

«Wielki lament przyszedł po grünwaldzkiej bitwie na zakon. Wszystka szlachta, gmin i mieszczanie powstali na panów swoich (to jest na Krzyżaków). Sprzeniewierzyli się im podobnież: Biskupi, prałaci, księża, zakonnicy, zakonnice i ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na strona króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnem i tak nagła odmiana serc w całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładu w żadnym kraju».

Tak ubolewa i mówi kronikarz i wielki przyjaciel Krzyżaków, możemy mu więc wierzyć na słowo, że tak było; gdyby upadek i porzucanie Krzyżaków nie było rzeczą powszechnie znaną i aż nadto prawdziwą, nie byłby ich własny kronikarz rozgłaszał hańby swoich przyjaciół.

Tak więc według proroctwa św. Brygidy, zostały wyłamane zęby Krzyżaków pod Grünwaldem, ale na większy wstyd i hańbę swoją żyli dalej, lecz, niestety! nie uznali wcale win i występków swoich.

Po wielkiem grünwaldzkiem zwycięstwie cały kraj poddał się Władysławowi Jagielle, tylko stolica Malborg, w której schroniły się niedobitki Krzyżaków, pod wodzą komtura Plaucena stawiała opór, zawarłszy bramy miasta.

Nie zająwszy odrazu, dopóki się Krzyżacy nie zbiegli i nie zamknęli Malborga, trzeba go było teraz oblegać i zdobywać, a nie było w owych czasach takich środków i sposobów do zdobywania twierdz, jakie my dziś mamy. W mocnej twierdzy można się było bronić lat kilka. To też oblężenie krzyżackiej stolicy przeciągało się; w obozie polskim powstawały choroby, mianowicie marło wielu Litwinów; nie działano też już tak zgodnie, jak pod Grünwaldem, bo chytrzy Krzyżacy trafili znowu do Wielkiego księcia litewskiego, jęli mu podszeptywać i straszyć go, że, skoro Jagiełło zgniecie zupełnie zakon, będzie potem szkodził Litwie. Nadto najemny żołnierz zaczął mruczeć o zapłatę, a pieniędzy w skarbcu nie było. Na domiar złego przekupiony król węgierski, Zygmunt, wpadł do Polski i pustoszył ziemię krakowską.

Władysław Jagiełło z bólem serca musiał porzucić oblężenie Malborga, spiesząc ku południowej granicy. Jeszcze do końca roku trwała wojna z zakonem, aż 1-go lutego 1411 roku zawarto pokój, który przywracał Polsce tylko ziemię dobrzyńską i Żmudź, oraz nakładał sto tysięcy groszy okupu na zakon, który miał go wypłacić Polsce.

Tak bardzo pomyślne zakończenie wojny dla Krzyżaków, jakiego się nigdy nie mogli spodziewać po grünwaldzkim pogromie, nie uratowało ich przecież od późniejszego, a szpetniejszego upadku.

W samym zakonie powstały kłótnie i zdrady; lud szemrał i buntował się coraz więcej, wyciągając ręce do Polski o pomoc. Nareszcie w rok 1454 jęli Prusacy tak prosić i bładać króla polskiego, Jagiełłowego syna, Kazimierza, aby ich uwolnił od srogiego jarzma mnichów, że monarcha polski uległ tym prośbom. Prusacy przypomi-

nali ustawicznie, że podług sprawiedliwości polskiemu berłu podlegać powinni, zwłaszcza też, iż sami tak tego pragną. Cały naród prosił i zaklinał, śląc posły i błagania tak długo, dopóki król Kazimierz, wzruszony niedolą ludu, ulitował się i przyszedł z pomocą.

Lecz długo trwało, nim Polacy wyswobodzili Prusaków z pod srogiego panowania Krzyżaków. Dopiero po dwudziestoletniej wojnie roku 1466 wróciły wszystkie zagrabione Polsce przez Krzyżaków ziemie pod panowanie nowego monarchy, Kazimierza Jagiellończyka. Na mocy pokoju toruńskiego zostawiono Krzyżakom tylko Prusy wschodnie, i to dano im je tylko w lennictwo, musieli przeto wielcy mistrze hołd Polsce składać i służyć jej w każdej potrzebie, jako swej dobrodziejce i najwyższej pani.

Lecz harde i niczem niepoprawne Krzyżactwo, choć mu nadcięto prawą rękę i prawą nogę», jak mówi proroctwo, dążyło do jeszcze sromotniejszego upadku.

W kilkadziesiąt tat później bowiem ostatni wielki mistrz zakonu, Albert, porzucił wiarę katolicką, dla obrony której został założony ów zakon; Albert przyjął wyznanie luterskie, ożenił się i został z wielkiego mistrza księciem, a państwo zakonne księstwem świeckiem, tym więc sposobem, po trzystu latach bezprawia i grabieży, przestał istnieć zakon krzyżacki.

Nowy książę pruski (tak się teraz nazywał Albert) był nadal lennikiem Polski, a w roku 1525 złożył w Krakowie hołd królewski polskiemu Zygmuntowi I-mu, jako swemu najwyższemu panu.

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

Na miejscu, gdzie niegdyś stał dom Łazarza i jego sióstr, zbudowano w pierwszych wiekach chrześcijaństwa kościół, który uległ zniszczeniu. Przez długi czas miejscowość ową posiadali Turcy, dopiero w roku 1868 nabyła

ją od nich pewna pobożna pani z Francyi dla OO. Franciszkanów, którzy tę pamiątkę otoczyli murem, a na gruzach dawnego kościoła zbudowali kapliczkę.

We wschodniej stronie za wioską wskazują kamień rozmowy, przy którym Marta zabieżała drogę Panu Jezusowi, słuchając jego słów pociechy o Zmartwychwstaniu; tu przyszła następnie Marya Magdalena z żydami. Kamień ów jest we wielkiej czci u katolików i muzułmanów.

W pobliżu niego znajduje się cerkiew grecka.

W południowym kierunku Betanii, o 10 minut drogi od tej pamiątki, znajduje się grobowiec Łazarza.

Św. Helena, cesarzowa, zbudowała nad nim w IV wieku kościół z kryptą podziemną i klasztor.

Za czasów Krzyżowców umieszczono tu zakonnice Benedyktynki; dla obrony klasztoru wzniesiono wieżę, której resztki dotychczas istnieją pod nazwą ruin zamku Łazarza. Gdy Turcy klasztor zburzyli (1187 roku), przywłaszczyli sobie kościół i zamienili go w meczet i zabraniali chrześcijanom wstępu do grobu Łazarza. Wtedy OO. Franciszkanie w XVI. wieku wykuli z zewnątrz, od drogi, drugie schody do tegoż grobu; znajdują się one dotychczas.

W pobliżu grobu Łazarza, na 150 metrów we wschodniej stronie pokazują miejsce, na którem miał stać dom Szymona trędowatego, którego Pan Jezus z trądu uzdrowił. W tym domu namaszczała Marya Magdalena kosztownym olejkiem nogi Zbawiciela, a włosami swymi je obcierała (Jo. 12, 3).

Trzy razy w roku przychodzą OO. Franciszkanie w procesyi z Jerozolimy i odprawiają nabożeństwo w Betanii na miejscach pamiątkowych, mianowicie: w piątek po IV-tej niedzieli postu (we Mszy św. czyta się na ten dzień Ewangelię o wskrzeszeniu Łazarza), w święto Maryi Magdaleny (22-go lipca) i św. Łazarza (17-go grudnia).

Wioska Betania jest zamieszkała wyłącznie przez muzułmanów, składa się z około 40 chatek, a liczy przeszło 200 mieszkańców. Wiele w niej brudu i nieporządku, jak zazwyczaj w muzułmańskich wioskach.

2. Betfage.

Nazwa «Betfage» oznacza w polskiem języku «dom fig»; zapewne wioskę tę tak nazwano od licznych drzew figowych, które się koło niej znajdowały. Leżała ona niegdyś na wyżynie góry Oliwnej, między Betanią, a kościołem «Ojcze nasz», odległa od niego 10 minut drogi. Niektórzy powątpiewali o miejscowości starożytnego Betfage, lecz dawna tradycya OO. Franciszkanów, jako też wykopaliska z 1874 roku usuwają wszelkie trudności ich wątpliwościom.

Z wioski tej wysłał Pan Jezus na pięć dni przed swą Męką dwóch uczniów po oślicę i oślę i stąd rozpoczął swój tryumfalny wjazd do Jerozolimy. Wyraźnie o tem wspomina Pismo św.: «A gdy się przybliżali (Pan Jezus i uczniowie) ku Jeruzalem i przyszli do Betfage, do góry Oliwnej, tedy Jezus posłał dwóch uczniów: mówiąc im: Idźcie do miasteczka, które jest przeciwko wam, a natychmiast znajdziecie oślicę morągawą i oślę z nią; odwiążcie i przywiedźcie mi...» (Mat. 21, 1).

W roku 1880 nabyli OO. Franciszkanie to pamiętne miejsce, zbudowali na niem kapliczkę i otoczyli murem. Obok niego ma stróż swój domek, z którego dogląda i czuwa na temi i sąsiedniemi pamiątkami.

JEROZOLIMA DZISIEJSZA.

Dotychczas opisywaliśmy pamiątki dawnej starożytnej Jerozolimy, wypada nam obecnie wspomnieć — choć pokrótce o dzisiejszej Jerozolimie, o jej położeniu i rozkładzie, o ważniejszych zakładach i zakonach, o mieszkańcach tego miasa i ich wzajemnym stosunku.

I. POŁOŻENIE I ROZKŁAD MIASZA ŚWIĘTEGO.

Różne smutne i burzliwe przebyła Jerozolima czasy, częstym ulegała napadom i zaborom, co też odbiło się na jej nawet zewnętrznem położeniu. Teraźniejsza Jerozolima nie znajduje się już na tem samem miejscu, co dawniejsza z czasów króla Dawida i Salomona.

Rozszerzyła się znacznie w stronie północno-zachodniej, za to południowa część miasta znajduje się obecnie poza murami, większa część, wzgórze Syonu z górą Ofel. Ziemia znacznie się podniosła wewnątrz miasta; miejscami trzeba kopać do 12 metrów i więcej, nim się odkryje poziom miasta z czasów rzymskich. Nasypu zapewne największej powstało z powodu ruin i burzenia Jerozolimy w czasie wojen i napadów nieprzyjacielskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA.

(Z podań ludowych).

Siedziała matka przy kolebce dziecięcia.

Siedziała smutna, o! bardzo smutna, serce jej drży z trwogi o życie jedynaka.

Dziecina taka blada, oczki miała zawarte, oddychała cicho, ale czasem tak zgłębi piersi, że oddech do westchnienia był podobniejszy. Strapiona matka jeszcze smutniej spoglądała na swoje biedniątko.

W tem do drzwi zakołatano. Weszła jakaś uboga, stara kobieta, w gruby koc koński zawinięta. Na dworze bowiem srożyła się straszna zima; wszystko ścięła lodem i śniegiem, a wiatr przejmujący dął, jakby nożem twarz krajał.

Stara drżała od zimna. Dziecię na chwilę usnęło. Więc powstała matka i przystawiła do ognia garnuszek z mlekiem, by przybyła miała się czem ogrzać i posilić. Stara usiadła i dziecię kołysała. Usiadła i matka tuż przy niej, wpatrywała się w chorą dziecinę, za rączki ją ująwszy.

— Nieprawdaż? i wy myślicie, że go nie stracę, — rzekła matka. — Bóg dobry nie zabierze mi mojego dziecięcia.

Stara pokiwała głową, ale tak jakoś dziwnie, że trudno było właściwej domyśleć się odpowiedzi. Matka spuściła oczy, łzy potoczyły się po twarzy. Głowa jej bardzo ciężyła; biedna matka już trzy noce i dni oka nie zmrużyła. Zdrzemała się ze znużenia, ale tylko na minutkę. Wnet się ocknęła i od zimna zadrżała.

— Co to jest? — zawołała rzucając okiem na wszystkie strony. Starej nie było i dziecięcia nie było; widocznie stara zabrała je ze sobą, a tam w kącie u starego zegara, który skrzypiał bezustannie, ciężka waga ołowiana spadła właśnie z łoskotem na podłogę i zegar stanął. Przerażona matka wybiegła z chaty i wołała za dzieckiem swojem.

Na dworze wśród śniegu siedziała niewiasta w długiej czarnej szacie. Usłyszała ona to rozpaczliwe wołanie i rzekła do matki:

— Śmierć była w twej chacie; widziałam ją spiesznie uchodzącą z dzieckiem twojem. Pędzi ona prędzej niż wiatr, a nigdy nie wraca, co zabrała!

— Powiedz mi tylko, w którą udała się stronę? — zawołała matka. — Wskaż tylko drogę, a już i śmierć dogonię.

— Drogę znam — odrzekła czarna niewiasta — ale nim ci ją wskażę, zaśpiewasz mi wszystkie pieśni, które śpiewałaś dziecku swojemu. Lubię te pieśni i słyszałam je nieraz. Jestem Noc. Widziałam łzy, które śpiewając wylewałaś.

— Zaśpiewam ci wszystkie, co do jednej — rzekła matka; — ale zlituj się, nie zatrzymuj mnie, muszę Śmierć dogonić i odebrać dziecię moje.

Noc milczała. Więc załamała ręce matka nieszczęśliwa i wśród rzewnego płaczu śpiewać zaczęła Było tam wiele tych pieśni serdecznych, ale łez jeszcze więcej. Nasłuchawszy się do woli, rzekła Noc:

— Idź w prawo, w ciemny bór sosnowy; tam pogoniła Śmierć z dzieckiem twojem.

Pogoniła więc matka.

W głębi boru rozstajna droga. Znów więc nie wiedzieć, w którą puścić się stronę. Tuż przy rozdrożu stał krzak tarniny bez liści i kwiatu, za to uginał się pod ciężarem śniegu i sople wisiały z gałęzi zwyczajnie, jak to bywa w zimie.

— Czy nie widziałaś Śmierci unoszącej dziecię małe? — spytała matka tarniny.

— Widziałam — odpowie zapytana — ale drogi nie wskażę, dopóki mnie nie ogrzejesz u piersi swojej. Patrz, ginę tu z zimna; w lud się zamieniam!

Chwyciła więc krzak biedna matka i co sił do łona przyciskała. Ciernie wbijało się w ciało i krew wielkiemi spływała kroplami. Ale tarnina niebawem liść świeży puściła i zakwitła wśród mroźnej nocy zimowej. Tyle to i takie ciepło u łona matki strapionej.

Tarnina wskazała drogę. Spieszy więc i spieszy biedna matka i niebawem nad wielkiem staje jeziorem. Nigdzie nie widać ni statku, ni łodzi. Jezioro nie było całkiem zamarzłe, aby je przebyć po lodzie, a w bród nie podobna puszczać się na tak wielki i głęboki wód przestwór. — A przecież trzeba było dostać się na brzeg drugi, aby Śmierć dogonić. Rzuciła się więc matka na brzeg; zdawało się, że zdoła wypić wody jeziora Ale to praca próżna, praca nad siły człowieka. Nie zważa na to matka strokana, myślała sobie, że może cud jaki się stanie.

— Ależ temu nie podołasz! — zawołało jezioro. — Raczej ugodź się ze mną. Lubię zbierać perły, a oczy twoje, to para pereł najczystszych, jakie mi kiedykolwiek widzieć się zdarzyło. Wypłacz je w wody moje, a przeprawię cię do wielkiej cieplarni, w której śmierć hoduje kwiaty i drzewa. Każde z nich, to życie ludzkie.

— O, czegobym nie oddała, byle się dostać do dziecka mojego! — rzecze matka zapłakana i jeszcze rzewniejszemi się zalała łzami. A wśród płaczu tego oczy jej wypłynęły i jako drogie perły wpadły na dno jeziora. Wnet wzdęły się wody, fala pochwyciła matkę i jakby na huśtawce w ruch wprawionej, na przeciwny brzeg przeniosła. Tam stał gmach dziwny, na wiele mil długi. Trudno było wiedzieć, czy to była góra z jaskiniami, lasami pokryta, czy też budynek umyślnie wystawiony. Biedna matka nie mogła go widzieć, bo już na świat patrzeć nie mogła.

— Gdzież tu Śmierć znajdę, co mi dziecię zabrała?

— Jeszcze nie powróciła — odrzekła siwa niewiasta, która przechadzając się, miała dozór wielkiej cieplarni Śmierci. — Ależ jakżeś się tu dostała i za czyją pomocą?

— Bóg dopomógł mi — rzekła matka. — Wszak on litościwy, a wy ulitujecie się nademną. Gdzie znajdę dziecię moje?

— Nie znam go — rzekła staruszka — a ty widzieć nie możesz! Wiele kwiatów i drzew uwiędło tej nocy;

Śmierć niebawem przybędzie, aby je przerzedzać. Wiesz przecież, że każdy człowiek ma drzewo lub kwiat życia swojego. Podobne one do innych roślin, tylko biją w nich serca. Serca dziecięce także biją. Uważaj na to; może poznasz bicie serca twojego dziecięcia. Ale co mi dasz, abym ci powiedziała, co jeszcze masz uczynić?

— Nie mam już nic do rozdania — rzekła strapiona matka. — Chyba pójdę za tobą choćby na koniec świata.

— Nie mam tam nic do załatwienia — rzekła dozorczyni. — ale możesz mi dać swe długie czarne włosy, a wiesz przecież, jakie piękne; bardzo mi się podobają. Dam ci w zamian swoje białe; i one także coś warte.

— Czy już niczego więcej nie żądasz? — zapytała matka. — Włosy moje dam ci z ochotą! — I oddała włosy swe krucze, a wzięła jak śnieg białe włosy staruszki.

Poczem poszły obie do wielkiej cieplarni Śmierci, gdzie pomięszane dziwnie rosły kwiaty i drzewa. Tu pod przykrywami szklannemi stały hyacenty i wielkie na kształt drzew róże; tam rosły rośliny wodne, jedne całkiem świeże, drugie na wpół zwiędłe, węże wodne wiły się po nich, a czarne raki łodygi się czepiały. Owdzie znosiły się wspaniałe palmy, dęby, platany, a w pobliżu były jarzyny i tymiany kwitnące.

Wszystkie drzewa i kwiaty miały swe nazwisko; każde było życiem ludzkiem; ludzie ci żyli jeszcze, ten w Chinach, tamten w Grenlandyi, inni gdzieindziej, rozprószeni po całej kuli ziemskiej, były tam wielkie drzewa w małych wazonkach; widocznie zbyt ciasno im było w tych więzieniach; toż zdawało się, że je wnet rozsadzą; a były też niektóre małe, nikłe kwiatki w pulchnej ziemi, około mchem obłożone, snać je troskliwie chodowano i pielęgnowano. Stroskana matka nachylała się nad wszystkiemi najmniejszemi kwiatami; w każdem bicie serca słyszała, a wśród milionów kwiatów poznała serce swego dziecięcia.

— Mam je, mam dziecię moje drogie! — zawołała, wyciągając rękę nad małym kwiateczkiem schorzałym i pochylonym.

— Nie dotykaj się kwiatka! — rzekła dozorczyni. — Ale stań tu na bok, a gdy Śmierć przybędzie — co chwila jej się spodziewam — nie daj go wyrwać, lecz zagróź, że

wszystkie jej powyrywasz. Zlęknie się tego, bo odpowiada za to przed Bogiem, bez którego woli żadnej rośliny wyrywać nie można.

W tem naraz zaszumiał po cieplarni wiatr jak lód zimny; matka wzroku pozbawiona uczuła przybycie Śmierci.

— Jakim cudem znalazłaś drogę do tego przybytku i jak mogłaś prędzej odemnie tu zdążyć? — rzecze Śmierć.

— Jestem matka! — odpowiedziała zapytana.

Śmierć wyciągnęła długą swą ręką za małym kwiatkiem; ale matka przykryła go rękami i zasłoniła przezornie, aby żadnego nie dotknąć listeczka. W tem Śmierć zionęła swym oddechem na jej ręce, biedna matka uczuła zimno dotkliwsze od najchłodniejszego wiatru; ręce jej omdlały i opadły.

— Mnie nie podołasz! — rzecze Śmierć.

— Ale Pan Bóg miłosierny uczynić to może! — odparła matka.

— Pełnię tylko jego wolę — powie Śmierć. — Jestem jego ogrodniczką. Kwiaty i drzewa, które on sadzi, zabieram i przesadzam do wielkiego ogrodu rajskiego, w krainę wcale nieznaną. Co się tam z nimi dzieje i jak tam wygląda, tego mi nie wolno tobie powiedzieć.

— Oddaj mi dziecię! — rzewnie płacząc, błagała matka. A chwyciwszy za dwa piękne kwiatki, zawołała: — Wyrwę ci wszystkie twoje kwiaty! Czy znasz rozpacz matki?

— Nie ruszaj ich! — rzekła Śmierć. — Narzekasz na swe nieszczęście, a właśnie w tej chwili chciałeś uczynić równie nieszczęliwą drugą matkę!

— Drugą matkę! — powtórzyła nieszczęśliwa i oba kwiaty z rąk puściła.

— Masz oczy twoje! — rzekła Śmierć. — wydobyłam je z jeziora; świeciły tam jasno, jak drogie kamienie; nie wiedziałam, że to twoje. Weź je, teraz jeszcze jaśniejsze, niż przedtem... Popatrz tuż obok w studnię. Powiem ci nazwiska obudwu kwiatów, które wyrwać zamierzałaś, obaczysz, coś chciała zniszczyć i zgubić.

Matka spojrzała w studnię. Rozkosz było widzieć, jak jeden z kwiatków stał się błogosławieństwem dla świata; ile radości i szczęścia roztaczał wokoło. Widziała i życie

kwiatka drugiego: było to pasmo trosk, biedy, niedoli i nędzy.

— Taka jest wola Boża! — rzekła Śmierć.

— Któryż z tych kwiatów jest kwiatem nieszczęścia? który błogosławieństwa? — zapytała matka.

— Tego nie powiem — rzekła Smierć — ale dowiedz się, że jeden z nich jest twego dziecka kwiatem. Widziałaś dolę, przyszłość własnego dziecka!

Głośny krzyk przestrachu wyrwał się z piersi matki.

— Któryż jest kwiatkiem mego dziecięcia? Powiedz mi! Uwolnij niewinne dziecię! Wybaw je od wszelkiej nędzy! Zabierz je raczej! Zanieś do królestwa Bożego! Zapomnij łez moich, zapomnij próśb i wszystkiego, com uczyniła!

— Nie rozumiem cię! — rzekła Smierć. — Czy chcesz, abym ci oddała dziecię, czy mam je zanieść w krainę ci nieznaną?

Matka załamała ręce i padłszy na kolana, gorąco się modliła:

— Nie słuchaj mnie Panie, gdy prośba ma sprzeciwia się Twej woli, która zawsze jest lepsza! Nie słuchaj mnie: Nie przychylaj się do prośby mojej!

Głowa spadła jej na piersi, a Śmierć odeszła z dzieckiem w krainę nieznaną.

Figle i żarty.

W sądzie. Sędzia: Utrzymujesz pan zatem, że ci skradziono chustkę?

— Tak, panie sędzio A najlepszym tego dowodem, że to chustka zupełnie taka, jak moja.

— To żaden dowód. Ja także mam podobną.

— Możliwe, panie sędzio, brakuje mi dwóch właśnie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.